

MGR. M. BALBERYSZSKI

LIKWIDACJA
GETTA WILEŃSKIEGO

WARSZAWA — ŁÓDŹ — KRAKÓW

1

9

4

6

40
kw

L I K W I D A C J A
GETTA WILENSKIEGO

MGR. M. BALBERYSZSKI

LIKWIDACJA GETTA WILEŃSKIEGO

D-011813

Zakłady Graficzne WINW — Oddział w Łodzi

WARSZAWA — ŁÓDŹ — KRAKÓW

1 9 4 6

Odbitka z książki

„DOKUMENTY I MATERIAŁY
do dziejów okupacji niemieckiej w Polsce”,
tom II — „AKCJE I WYSIEDLENIA”,
w opracowaniu Dr J. Kermisza.
(Wyd. Cent. Żyd. Komisji Historycznej Nr 23)

FUNDACJA
POGEANICZE
No 8695

Copyright by
Centralna Żydowska Komisja Historyczna
Łódź, Narutowicza 25

„Likwidacja getta wileńskiego” mgra Mendla Balberyszskiego to wspomnienie, napisane przez naocznego świadka i uczestnika tej tragedii. Autor, który znał świetnie getto wileńskie i dobrze orientował się w panujących w nim stosunkach, wspomnienia swe poświęcił ostatnim chwilom istnienia tego getta.

Z właściwą sobie szczerością odstąpił mgr. Balberyszski gangrenę, która toczyła zdemoralizowane przez Niemców sfery rządzące getta, nie szczędząc słusznie ostrych słów potępienia pod ich adresem, jako też pod adresem policji żydowskiej w getcie wileńskim. Uwydatniona też została postać osławionego „przedstawiciela getta”, Jakuba Gensa, który jednak także nie uniknął kuli niemieckiej, jak również — referenta Gestapo dla spraw żydowskich — Kitla, nikczemnika i komedianta.

Żywo opisał autor nastroje getta w przede dniu jego likwidacji, kiedy to „jak zwierzęta w klatce, krążyli ludzie po wyludnionych uliczkach getta”.

Z dużą bezpośredniością została przedstawiona „akcja” w dniach 1—4 września 1943 r., rezultatem której było wysłanie do Estonii 5000 osób, a następnie — ostatni akt likwidacji — wysiedlenie w dniach 23—24 września.

Chociaż Niemcy zapewniali w przede dniu likwidacji, że wysiedleńcy zostaną skierowani do obozów estońskich i litewskich, przecież widmo śmierci, wielki cmentarz żydostwa wileńskiego Ponary, żywo stało przed oczyma ostatnich mieszkańców getta.

Autor opisał w sposób sugestywny nastroje ludzi, oscylujących między życiem i śmiercią.

Niniejsze wspomnienie mgra Balberyszskiego, zawierające szereg żywych i ciekawych szczegółów, stanowi cenny przyczynek do dziejów getta wileńskiego.

J. K.

W piątek 6 sierpnia 1943 r. o godz. 10 rano nagła wiadomość wstrząsnęła gettem wileńskim. Oto lotnisko w Porubanku (4 km od Wilna) zostało okrażone i wszystkich robotników żydowskich w ilości tysiąca stamtąd zabrano. Po chwili nadeszła podobna wiadomość z „Beute-Sammelstelle“, gdzie pracowało kilkuset najmłodszych i najzdrowszych Żydów. W ten sposób, w ciągu kilku godzin zaczęły nadchodzić do getta coraz bardziej zastraszające wiadomości, że „biorą“ wszędzie. Wąskie, ciemne uliczki getta zappełniły się ludźmi. Kobiety, mężczyźni, dzieci załamywali ręce, płakali, krzycząc w niebogłose: „oto zbliża się nasz koniec, ostatnich z nas zabierają“.

Należy zaznaczyć, że ostatnie półtora roku przeszły w getcie względnie spokojnie. Ostatnia wielka „czystka“, jak nazywano w getcie akcję wywiezienia ludzi z getta na rozstrzelanie do Ponar, odbyła się 22—24 grudnia 1941 r. Wówczas z getta wywieziono wszystkich nielegalnych Żydów (za legalnych uważało się tych Żydów, którzy otrzymali żółte zaświadczenia pracy z niemieckiego urzędu pracy, lub różowe zaświadczenie ochronne, wydane przez zarząd getta). Od tego czasu zabrano z getta tylko grupę „silnych“ (element kryminalny) i partię starszych ludzi. Tych ostatnich wywieziono „na lotnisko“ do Pospieszki (letniskowa miejscowość, 4 km za Wilnem) i stamtąd po tygodniu odstawiono ich na Ponary. Poza tym masowych akcji w getcie nie było. Dla ścisłości należy jednak zaznaczyć, że 5 kwietnia 1943 r. Niemcy w ciągu kilku godzin zastrzelili na Ponarach 5.500 Żydów z powiatów: wileńskiego i święciańskiego.

Podobno miano te dwa transporty Żydów wysłać do getta w Kownie, ale stało się inaczej. Zostali oni rozstrzelani na Ponarach. Ostatnio w getcie niewiadomo przez kogo szerzone były pogłoski, że ukazało się specjalne rozporządzenie niemieckich władz wojskowych o przerwaniu masowych egzekucyj Żydów. Żydzi chętnie dawali posłuch tym pogłoskom. W tym czasie znajdowało się w getcie przeszło 20.000 osób. Od 22 czerwca 1941 aż do wpędzenia Żydów do dwóch gett tj. do 6 września 1941 r. wymordowali Niemcy 35.000 osób. Od 6. IX 1941 r. do 24. XII. 1941 wymordowano jeszcze 15.000 osób. W chwili wejścia Niemców do Wilna było tam około 70.000 ludności żydowskiej.

Jak zaznaczyłem, wciąż nowe wiadomości nadchodziły do getta. Doprowadzały one ludzi do szału. Kobiety, których mężowie wyszli na miasto do pracy, mężczyźni, których żony pracowały poza gettem, dzieci, wszyscy rzucili pracę w warsztatach gettowych, wszyscy biegali jak szaleni, pytając jeden drugiego: „Co słychać?“, — choć dobrze wiadano, że nikt nie może dać na to odpowiedzi. Żydzi szukali wyjaśnienia u przedstawiciela getta Jakuba Gensa, łudząc się nadzieją, że może on coś wie, ale nadaremnie.

Tak biegali bezradni, zrozpaczeni, zczerniali z niepewności i rozpaczy kilka godzin, aż dotarła pierwsza wiadomość, że tu nie chodzi o Ponary, lecz o wysłanie ludzi na roboty do Estonii.

Nie wiadomo było, skąd się ta pogłoska wzięła, pogłoska jak tysiące innych, które się jednak zawsze sprawdzały. Nastąpiło pewne odprężenie. Trochę się uspokojono, jeżeli spokojem można nazwać przeżycia ludzi, znajdujących się w rękach oprawców i zmuszonych wierzyć w rozsiewane przez nich pogłoski.

Ludzie przeznaczeni do transportu próbowali się ratować. Wielu uciekało z placówek, kilku wyskoczyło z pociągu. Wielu uciekających Niemcy rozstrzelali i, o dziwo, nie

mogli w żaden sposób zrozumieć, dlaczego Żydzi im nie wierzą, kiedy solennie im się przyrzeka, że się ich wywozi na roboty. Tylko kilkaset ludzi zdołało się uratować ucieczką. Resztę zabrano. Wzięto ich z placówek bez okrycia, bez bielizny, bez zapasów żywnościowych. Byli pewni, że wywożą ich na śmierć. Gdy się w getcie upewniono, że transport faktycznie wyjechał na roboty do Estonii, ludzie znowu zaczęli snuć różne przypuszczenia. Jeżeli Niemcom byli faktycznie potrzebni ludzie do roboty, to dlaczego tak brutalnie i w ten sposób to przeprowadzali. Mogli przecież zażądać od przedstawiciela getta potrzebną im ilość ludzi do roboty. Napewno by im tych ludzi dostarczył, bo nawet na Ponary poprzedni Judenrat dostarczał przy pomocy swojej policji taką ilość, jaką Niemcy zażądali.

Ludzie tak długo gubili się w domysłach, aż wrócił z miasta przedstawiciel getta Gens i uspokoił ludność, mówiąc, że ludzie ci pojechali do pracy, a nie na śmierć. Niemcy zapewniali, że niektórzy brygadierzy żydowscy jak Hejman, pani Kac i inni, którzy pojechali razem z transportem, za kilka dni wrócą i przywiozą ze sobą własnoręcznie napisane listy od wywiezionych. Można będzie również wysłać im bieliznę, rzeczy, żywność itd. Z niecierpliwością oczekiwano powrotu brygadierów. Wątpliwości pomimo zapewnień dręczyły wszystkich: „Czy przyjadą? Czy przywiozą ze sobą listy? Czy żyją wywiezieni?“

Ludzie błakali się po getcie jak cienie. Naprężenie nerwów doszło do ostatecznych granic. Ból kobiet, dzieci, rodziców, których najbliższych wysłano, był bezgraniczny.

Nagle w środę 11 sierpnia 1943 r. obiegła getto pogłoska, że brygadierzy istotnie wrócili i są w gabinecie Gensa. Ludzie stłoczyli się na Rudnickiej 6, gdzie znajdował się zarząd getta. Ledwo doczekano tej chwili, gdy brygadierzy wyszli z gabinetu Gensa i zakomunikowali, że wszyscy żyją, że wszyscy zostali wywiezieni do Wejwäri w Estonii i tam

pozostaną w obozie pracy. Przywieźli ze sobą listy. Tłum rzucił się do policjantów po listy. Ludzie się wzajemnie popychali, bili, szturmowali policję. Każdy chciał wiedzieć co pisze jego najbliższy. Wszystkie listy brzmiały jednakowo: „Żyjemy, wierzymy, że będziemy dalej żyć, nas wysłano tylko do pracy“... Wszyscy prosili o odzież, bieliznę, szczególnie o ciepłą bieliznę, gdyż w Estonii wieją zimne wiatry. Prosimi również o żywność, gdyż wyżywienie jest marne. Szczególnie jeden list wywarł silne wrażenie w getcie. Zaczynał się on od słów: „Hopla, żyjemy“. Uspokojono się, mówiono: „Niech będą Wejwäri“. Niektórzy nawet żartowali, że nazwa tej miejscowości odpowiada ogólnemu nastrojowi Żydów: „Wej, Wej“.

— Niech będzie Estonia, aby żyć, aby nie Ponary, — mówiono. Rozpoczął się ruch w getcie. Zaczęto pakować pościel, ubrania, bieliznę. Wysłano nie paczki, ale całe paki, byleby ulżyć najbliższym.

W tym samym czasie oświadczył Gens, że kto chce, może pojechać do wysłanych i może zabrać ze sobą wszystkie rzeczy. Znalazło się dużo chętnych, którzy pojechali z transportem rzeczy. Przez cały czas wszystko w getcie obracało się dokoła Estonii. W końcu sierpnia oświadczył Gens, że Niemcy żądają od niego nowych kilku tysięcy ludzi do roboty do Estonii. Zaproponował, by się dobrowolnie zapisywano. Chętnych się jednak nie znalazło, gdyż z Estonii nadchodziły smutne wiadomości. Wiedzano już, że praca tam jest bardzo ciężka, że się głoduje, że klimat tam jest bardzo surowy. Słowem, nikt się nie kwapił, by dobrowolnie zapisać się na wyjazd. Wówczas Gens rozesłał zawiadomienia do rodzin, które miały swoich bliskich w Estonii, z żądaniem, by tam pojechały. W getcie rozpętała się istna burza. Część młodzieży zdecydowała się pojechać, gdyż w listach z Estonii było podane, że wujaszek Józef (Józef Stalin) jest w pobliżu i możliwe, że się z nim spotkają. Na podstawie tych listów wnioskowano, że front jest blisko, ale że przejść linię frontu jest niemożliwe. Pomimo tego kilku

młodych ludzi postanowiło wyjechać. Było ich jednak zbyt mało i Gens nie mógł w określonym terminie dostarczyć Niemcom żądanej ilości ludzi. Z wielką trwogą oczekiwano, jak Niemcy zareagują na to. Wypadki nie dały na siebie długo czekać. W środę 1 września 1943 r. nad ranem obudziła ludzi straszna wieść, że Kitel, przedstawiciel gestapo dla spraw żydowskich, późniejszy likwidator getta, jest w getcie i łapie ludzi do Estonii, że getto jest otoczone wojskiem. Kilka godzin przeprowadzał Kitel z żołnierzami łapankę przy ul. Rudnickiej i zebrał kilkaset osób. Łapał każdego napotkanego, nie licząc się z niczym. Panika ogarnęła getto. Nawet rodziny policjantów ukryły się w schronach. Ta łapanka mocno nie podobała się Gensowi i policji. Do tej chwili, bowiem, wysyłano na roboty wyłącznie biedaków, podczas gdy przy tej łapance wpadli również uprzywilejowani. Gens rozpoczął pertraktacje z Kitel, przyrzekając, że w ciągu 3 — 4 dni dostarczy odpowiedniej ilości ludzi. Kitel przystał na to i z żołnierzami opuścił getto. Teraz Gens ze swoją policją przystąpił do akcji. Wziął się do tego z energią godną lepszej sprawy. Niezależnie od stałej policji, zorganizował specjalną policję pomocniczą. Banda ta rekrutowała się z mętów społecznych i nowych „lepszych“ indywiduów, którzy podjęli się wynajdywania bunkrów za cenę pozostawienia ich w getcie. Bandy te przenikały wszędzie i trudno się było od nich uchronić.

Cała ludność getta schowała się w uprzednio przygotowanych bunkrach. Wiadomo było, że Niemcy doznają porażek na frontach i że koniec ich panowania jest bliski. Dlatego też Żydzi zaczęli przygotowywać schrony na krytyczny przejściowy okres. Schrony robiono w sposób tak przemyślny, że Niemcy by ich nigdy nie odnaleźli. Budowano podziemne mieszkania. Dla tego celu łączono korytarzami piwnice, znajdujące się w różnych domach z wyjściem poza getto. Burzono ściany, przeprowadzano w schronach radio, kanalizację, oświetlenie elektryczne z miasta, docierając bezpośrednio do podziemnych kabli. Przygotowano zapasy wody, żywności, świec. Schrony te były bardzo do-

brze zamaskowane. Wchodziło się do nich przez płytę kuchenną, przez piec, lub przez klozety, względnie przez inne zamaskowane miejsca. Niemcy odnaleźliby te schrony tylko w tym wypadku, gdyby podminowali domy. Ale przed policją żydowską i nową bandą pomocniczych policjantów nie można się było ukryć. Im było wiadomo o wszystkim, i za cenę ratowania siebie i swoich rodzin byli gotowi zadenuncjować wszystkie schrony. Zanim jeszcze przystąpili do tego „świętego dzieła“ przeprowadził Gens na Rudnickiej 6 zebranie ludowe. Stał na balkonie ze swoimi pachołkami i przemawiał do zebranych ludzi, by jechali, gdyż nie ma innej rady. Dalej oznajmił, że jechać muszą wszyscy bez wyjątku, że nie będzie uprzywilejowanych. Nic nie pomoże, mówił dalej Gens, ukrywanie się, bo on ze swoją policją znajdzie wszystkie schrony i wówczas będzie gorzej, bo się wyśle ludzi tak jak stoją, zaś, wyjeżdżając dobrowolnie, mają możliwość zabrać ze sobą odzież, bieliznę, żywność itd. W tym samym duchu przemawiało kilku z jego służalców, namawiając do ochotniczego stawienia się. Zwątpienie ogarnęło zebranych, ludzie nie wiedzieli co począć, jak się ratować. Dla wszystkich było jasne, że mówcy ci napewno nie pojadą, że każą jechać tylko innym... i dlatego postanowiono po wysłuchaniu wszystkich przemówień jednak pozostać w ukryciu. Tak też uczyniłem, zabrałem swojego synka i zeszedłem do podziemnego schronu, który jeszcze przedtem przyszykowałem. Z nami razem schowało się jeszcze kilkadziesiąt osób. Mieszkanie wraz z całym dobytkiem zostawiłem na pastwę losu. Po kilku godzinach spędzonych w tej ciemnicy dowiedzieliśmy się, że w getcie dzieją się straszne rzeczy; przede wszystkim stało się nam wiadomym, że policja łapie tylko mężczyzn. Wykorzystały to nasze kobiety i wyszły ze schronu do mieszkania. Później dowiedzieliśmy się, że na Straszuna 12 zdarzył się następujący wypadek: przechodził tamtędy Kitel z Niemcami i z żydowskimi policjantami. Bojowcy strzelali do Niemców. Dom ten został wysadzony w powietrze. Wielu ludzi zginęło, wielu zostało zasypanych. Był to pierwszy wyczyn tego rodzaju.

Na drugi dzień, w czwartek zburzono kilka domów na tejsze ulicy. Tę samą akcję przeprowadzono na ulicy Zawalnej itd. Łatwo sobie wyobrazić, jakie przygnębienie ogarnęło nas, nasze dzieci i kobiety, gdy te wiadomości dotarły do naszego podziemia. Podczas wybuchu było wiele zabitych i rannych. Trwało to w ciągu środy, czwartku i piątku. W piątek okazało się, że nie ma jeszcze odpowiedniej ilości ludzi. Wówczas Gens udał się do żydowskiego szpitala, wypędził wszystkich chorych, lekarzy, aptekarzy, pracowników, i z nich tylko małą część zostawił w szpitalu. Wszystkich innych zabrał ze szpitala tak, jak stali. Lekarzom kazał zdjąć fartuchy i z rewolwerem w ręku odprowadził ich do bram getta. Zmuszeni byli pójść zupełnie nie przygotowani do wyjazdu, bez odzieży, bez paczek, bez bielizny. Znaczna część ludności żydowskiej załamała się. Mężczyźni z żonami i dziećmi sami udali się w kierunku bram.

Jak już zaznaczyłem, schowałem się z 12-letnim synem i małą grupą ludzi w podziemnym schronie. Zdradziła nas pewna kobieta, która przedtem się u nas ukrywała i której znajomy został zatrzymany. Chcąc go ratować, zdradziła nas. Policja przyszła do mieszkania z planem naszego schronu, grożąc, że wysadzi dom w powietrze. Kobiety nasze zaczęły przeraźliwie krzyczeć, wówczas wyszliśmy ze schronu. Skierowano nas na punkt zborny. W ostatniej chwili udało się mojej córce przy współudziale starego W. Kryńskiego i innych wydostać mnie stamtąd. Ze mną razem wy dostał się artysta Sasza Kremer. Z naszego schronu został wysłany stary Chaim Bakaturski, antykwariusz Abram Kac, Szkolnik Calel itd. W sobotę zabrali się do kobiet, mężczyzn zostawili w spokoju. Mogliśmy się swobodnie poruszać. Wówczas nastąpiła zmiana ról. Kobiety udały się do schronu. Jeszcze przez cały dzień panoszyła się policja żydowska. W ostatniej chwili Gens zawezwał policję pomocniczą, podziękował im serdecznie za ich wierną pracę, uściskał ich i wysłał do... Estonii. Taką zapłatę otrzymała ta banda. W sobotę wieczorem oznajmiono, że akcja skończona...

Odetchnęliśmy swobodniej i wyszliśmy na ulicę, by obejrzeć getto. Widok był straszliwy. Ulice, domy, mieszkania wyglądały jak po prawdziwym pogromie. Na ulicach porzucone rzeczy, w mieszkaniach nieład, wszystko rozbite, porzucane, przewracane do góry nogami. Widok ludzi był jeszcze bardziej przytłaczający. Byli oni przestraszeni, blade, bez kropli krwi w twarzy, głodni i niewyspani. W ciągu tych czterech dni przeżyli śmiertelne, niewysłowione udręki. Ale życie przewycięża wszystko. Znaleźli się maruderzy, którzy jak bestie rzucili się na mieszkania wywiezionych ludzi, by zabrać pozostałe meble i rzeczy. Był to rabunek, w pełnym znaczeniu tego słowa. W tym wyścigu podłości przodowała policja żydowska. Dobrze się obłowili w te dni, nie szczędząc żydowskiej krwi i łez. W ciągu tych kilku dni Kitel nie opuszczał getta. Przechadzał się po uliczkach i zaułkach getta i obserwował bieg akcji.

Opowiadano w getcie, że dom na ul. Straszuna został wysadzony w powietrze z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że stamtąd strzelono do Kitla. Druga wersja była następująca: w getcie była dobrze zorganizowana i dobrze uzbrojona grupa młodzieży, na czele której stał komunista Izaak Witenberg. Policja żydowska jeszcze przed akcją wydała Witenberga w ręce Gestapo. Grupa ta mieściła się na ul. Straszuna 6. Gens ze swoją policją wołał nie zapuszczać się w tę uliczkę, gdyż drżał przed akcją bojowców. To też zostawiono grupę tę w spokoju, a nawet zaopatrzoną w żywność.

I tak 4-dniowa akcja, podczas której wywieziono 5.000 osób do Estonii, została zakończona. Powoli zaczęła się ludność gettowa uspakajać. Niestety, jakże krótkotrwały to był spokój. Prawda, w niedzielę 5 września, ruch uliczny w getcie był normalny. Było bardzo przestronnie, bo przecież tysiące ludzi zostało wyrwanych ze swojej gleby, pozostały puste mieszkania i dla pewnej części rozpoczął się sezon grabieży cudzego mienia. Przeszło jeszcze kilka dni. Powoli zaczęli ludzie wracać do równowagi. Prace poza miastem

się zakończyły. Getto zostało zamknięte na siedem spustów. Prawie nikt poza obręb getta nie wychodził. Drożyzna rosła. Przez cały czas kilogram chleba w getcie kosztował mniej więcej 40 — 50 rubli (4 — 5 marek). Obecnie cena chleba wzrosła do stu i więcej rubli. Wszyscy mieszkańcy getta, z wyjątkiem tych, którzy pracowali w warsztatach gettowych, byli pozbawieni pracy. Przypuszczano, że długo to nie potrwa, że przecież Niemcy nie będą nas trzymali na darmowym chlebie. Spodziewano się, że coś się stanie. Niedługo czekano. W poniedziałek wieczór 13 września 1943 r. obiegła getto sensacyjna wiadomość. Gens otrzymał polecenie stawienia się w Gestapo. Zwykle znajdował się w Gestapo jego zastępca Sala Desler. Gens z Gestapo rzadziej się stykał. Opowiadano, że Gens powiedział swej matce przed wyjściem z domu, że jeżeli nie wróci na noc, to nie należy się go już więcej spodziewać. Getto było tą wiadomością bardzo poruszone. Mówiono: „Zabrali Gensa, czy jest to koniec nas wszystkich? Czy może jest to tylko chwilowe nieszczęście?” Noc przeszła w męce, przerażeniu i trwodze. Ucihły wieczne dyskusje polityczne, które absorbowwały ludność getta w dzień i w nocy. Mówiono tylko o Gensie. Na drugi dzień rano oświadczył Sala Desler, że niczego się o Gensie nie dowiedział. Ale w getcie już przebąkiwano, że Gens został na 2 dni przed zatrzymaniem uprzedzony przez gestapowca Weisa, że go w tych dniach zaaresztują. Radził mu, by się ratował ucieczką. Gens podobno nie zgodził się na ucieczkę. Niedługo trzymano nas w nieświadomości. We wtorek, 14 września, na drugi dzień po aresztowaniu Gensa, przybył do getta Kitel z oficerami i kazał niezwłocznie zarządzić apel policji żydowskiej w lokalu cukierni na rogu Rudnickiej i Disnieńskiej. Tam Kitel oznajmił, iż wobec tego, że Gens nie wykonał rozporządzeń wyższych władz niemieckich, został rozstrzelany. Jego zastępcą będzie Desler aż do tej chwili, kiedy zostanie mianowany inny przedstawiciel getta. Gdyśmy w dwa tygodnie później jechali do Estonii, opowiedział mi w wagonie niejaki Woron, cieszący się smutną sławą w getcie za swoje konszachty z Niemcami

przy zwalnianiu Żydów z więzienia, że on z jeszcze kilku Żydami aresztowanymi przez Gestapo miał tego wieczora wykopać dół i pochować jakiegoś człowieka. Przypuszczalnie był to Gens.

Apel trwał zaledwie kilka minut. Policjanci wyszli zmieszani, trupio bladzi. Nie mogli ogarnąć umysłem tego, co się stało. Jakto! Ich Boga, ich Pana, ich chlebobawcę rozstrzelano. Wiadomość ta lotem błyskawicy obiegła getto. Ludzie próbowali dociec, co oznacza ten strzał. Czy strzał ten ugodził tylko w Gensa, człowieka, który był z Gestapo w kontakcie, lub może był to strzał skierowany właśnie w getto. Jak grom uderzyła ta wieść w policję żydowską. Gdyby im powiedziano, że całe żydowskie getto będzie rozstrzelane, a tylko Gens zostanie, toby akceptowali tę zbrodnię. Do dnia dzisiejszego wysyłali tysiące ludzi na Ponary, do Estonii, wszędzie, byle tylko siebie ratować, a tu masz tobie! Samego Gensa zabili! co oni znaczą w porównaniu z nim? Przed wieczorem urządziła policja nabożeństwo za duszę zmarłego, rabin wygłosił kazanie pośmiertne, które się zaczęło od słów: „Nie mamy ojca“. Później brat Gensa Salomon zmówił kadisz. Przemawiał również inspektor policji Muszkat. Desler stał podczas całego nabożeństwa z głową opartą o ścianę i ani razu nie podniósł oczu. Zdawało się, że ma nieczyste sumienie, lub może drży o własną skórę, bo przecież teraz nadchodzi jego kolej. W getcie panowało ogromne przygnębienie. Każdy czuł, że nieuchronnie nasuwają się czarne chmury, serca uciskał niewypowiedziany ciężar. Ludzie stali się małomówni, z oczu każdego wycierało śmiertelne przerażenie. Nie przejmowano się nawet straszliwą drożyną, która rosła jakby na drożdżach z dnia na dzień. Jedna myśl opanowała wszystkich: Co nowego przyniesie dzień następny. Jak zwierzęta w klatce krążyli ludzie po wyludnionych uliczkach getta. Wszyscy wiedzieli, że są skazani na śmierć. Ale jak się ratować? Jak się wy dostać z tej strasznej matni? Dokąd iść, gdzie się ukryć ze starą matką, z żoną, z dziećmi? Co robić? Jest to chyba najtragiczniejsze, gdy człowiek, zdając sobie doskonale sprawę z gro-

zącego niebezpieczeństwa, czując śmierć każdą cząsteczką swego ciała, jest bezsilny wobec nadciągającej katastrofy. Zgnębiony, przechadzałem się z żoną i dorosłą córką po uliczkach getta. Byliśmy opanowani jedną myślą, jak się ratować. Jedynym promykiem w getcie były dobre wieści z frontu. Zrozumiałem jest, że niemieckie komunikaty z frontu odbiegały od prawdy, nie odzwierciedlały prawdziwej sytuacji na froncie, były skąpe, wiele nie dowodziły, były kłamliwe. A jednak między wierszami czytaliśmy jasno i wyraźnie że porażka ich już się zaczęła. Ich buta i pewność siebie znikły. Już nie mówili o wzięciu Moskwy, nie mówili już o Leningradzie, cofali się na całym froncie, a na wokandzie stał obecnie Smoleńsk. Z wiadomościami było ostatnio gorzej, gdyż bardzo mało ludzi pracowało na mieście. Ale i te skąpe wiadomości starczyły. Wiadomości z frontu, artykuły w gazetach niemieckich, to była nasza jedyna pociecha, jedyny promień, który ogrzewał nas i przyświecał nam w tej otchłani, w której byliśmy pogrążeni. Grać na zwłokę, wygrać jak najwięcej czasu, to była jedyna nasza szansa. Liczyliśmy na to, że może się stanie cud, porażka Niemiec nastąpi nagle, niespodziewanie i zostaniemy uratowani.

Ta nadzieja podtrzymywała w nas energię, odwagę przeżycia tych okropności. Tymczasem rozpoczęła się w getcie nowa ruchawka. Biorą ludzi do H. K. P. Były to niemieckie warsztaty, gdzie reperowano maszyny, broń itd. Warsztaty te znajdowały się w różnych punktach miasta. Ale gdy zabroniono wychodzić z getta na miasto do pracy, również ten ostatni kontakt został zerwany. Mówiono, że H. K. P. urządza jeden wielki warsztat na „Ruzele“ na ulicy Subocz w tak zwanych „nowych budynkach“. Były to wielkie bloki mieszkaniowe, wybudowane w 1904 roku przez żydowsko-francuskie towarzystwo filantropijne ICA. Mówiono, że tam będzie urządzony H. K. P. — wielki warsztat z pomieszczeniem dla żydowskich robotników. W ten sposób pewna ilość robotników z rodzinami wyjdzie z getta i będzie mogła tam mieszkać tak samo, jako robotnicy „Kajlis“ (fabryka futer). Uchwycono się tej możliwości. Ludzie

zaczęli się zapisywać na blok H. K. P. Rzecz jasna, że wyjechali tam ci, którzy zapłacili złotem żydowskiej policji. W ten sposób wyjechali do H. K. P. wszyscy oprócz... robotników. Tak się kotłowało w getcie kilka dni, aż w sobotę 18 września przybył do getta Kitel z kilku autami ciężarowymi i oświadczył, że musi mieć kilkuset fachowców do warsztatów H. K. P. Znalazło się kilku robotników, którzy wprost rwali się do tego wyjazdu. Ale gdy wizyta Kitla w getcie się przeciągnęła i gdy zauważyli, że Kitel jakoś nie śpieszy się z zabraniem robotników, ochłonęli i całe przedsięwzięcie wydało się podejrzanym. Gdy policja zaczęła zwoływać zarejestrowanych do wsiadania, nikt się nie stawiał. Kitel rozkazał nowemu przedstawicielowi getta Beniakońskiemu zebrać ludzi gwałtem. Policja puściła się na poszukiwania, zaczęła łapać pierwszych lepszych, powstała panika. Ale i to niedługo trwało. Kitel kazał zwolnić wszystkich złapanych i wyjechał.

Jaki miał cel w tym, żeby wywołać taką panikę, nikt nie wiedział i nikt nie mógł tego zrozumieć. Jak widać, zależało mu na tym, żeby speszzyć pozostałych mieszkańców getta, wywołać zamęt w ich umysłach, moralnie ich złamać, by już niezdolni byli do żadnego odruchu, gdy spadnie na nich ostatnie śmiertelne uderzenie, które im szykował. Innego wytłumaczenia dla wypadków sobotnich nie było.

Cały dzień spędził Kitel w getcie. Przedstawiciela getta, który by z nim pomówił, nie było. Czuł się tak swobodnie, jak artysta na scenie. Był właśnie artystą filmowym. Tego dnia stał i rozmawiał z żydowskimi kobietami, które go błagały, by je wziął do pracy do H. K. P.—Dzisiaj nie—odpowiadał—dzisiaj wezmę tylko mężczyzn, na was również przyjdzie kolej. Tak się zabawiał i przekomarzał z kobietami.

Nikt z zarządu getta nie doszedł do niego, by z nim pomówić. Wszyscy pouciekali jak myszy do nor. Dwa lata tłoczyli się kosztem ludności getta, a gdy przyszła chwila, by pomówić z przedstawicielami władzy, czegoś się dowiedzieć, to nie było komu. Tego dnia getto było jak okręt bez steru,

puszczony na pastwę wzburzonych fal. Tymczasem o 2-giej po południu zostało getto poruszone nową sensacją. Sala Desler, główny łącznik getta z Gestapo, uciekł z żoną z getta. Opowiadano, że żona Deslera, młoda kobieta, pochodząca z Łodzi, wyslizgnęła się z getta z małą walizeczką, a za nią jej mąż Sala. Opowiadano przytem, że Desler zabrał ze sobą brylanty i cały zapas złota z zarządu getta, który oceniano na kilka tysięcy rubli w złocie. Opowiadano dalej i to się sprawdziło, że o kilka godzin wcześniej wyszedł z getta stary Feliks Desler były „gabe“ (kierownik) wileńskiej starej bóżnicy i były długoletni prezes żydowskiej organizacji pomocy chorym w Wilnie (Miszmereš chojlim) z żoną. A więc z gettem chyba już było bardzo kruch, jeżeli młody Desler z żoną uciekł, a starego ojca z matką wcześniej wysłał do bloku H. K. P. Można sobie wyobrazić, ile domysłów wywołały te zdarzenia. A więc grube ryby uciekają jak szczury z tonącego okrętu. W getcie panowało powszechne oburzenie, spowodowane nie tyle ucieczką Deslera ile tym, że zabrał ze sobą trochę złota, które było do dyspozycji zarządu getta. W takiej chwili pozostawił Żydów bez jakichkolwiek środków. Później dowiedziano się, że oprócz Sala Deslera uciekli również inni dygnitarze, jak komendant straży przy bramie getta, smutnej pamięci Lewas z żoną i teściem Kusznierem, prokurator Czesław Nusbaum—Oltaszewski, były redaktor gazety łódzkiej „Republika“. Wiedzieliśmy, że jest źle, dygnitarze uciekają, rzucając getto na pastwę losu. Ludzie byli zdezorientowani, ale wszyscy czuli, że na getto naciągają ciężkie chmury. Nastrój był okropny, wprost potworny: co noc wykradały się z getta grupy młodych ludzi, którzy szli do partyzantów. Kilka osób schroniło się u znajomych Polaków. Kilku udało się dostać do „Kajlis“ i do bloków H.K.P. Uważano, że zbliża się koniec getta i że dla pozostałych 12.000 ludzi nie ma ratunku. Nie mieli dokąd iść, nie mieli gdzie się schować. Zrezygnowani, nie mieli już sił walczyć z przeznaczeniem.

Tymczasem drożyzna w getcie wzrosła jeszcze więcej. Cena dwukilowego bochenka chleba podniosła się do 250

rubli. Cena masła, mięsa dochodziła do astronomicznych sum. Do getta przywożono chleb ze sklepów „Ruty“ według normy 120 gramów dziennie na człowieka. Ale furmani, którzy ładowali ten chleb, przywozili jeszcze kilkaset chlebów ponad normę. Było to związane z wielkim ryzykiem, a zresztą nakarmić 12.000 osób nadprogramową ilością chleba było rzeczą niezmiernie trudną.

Kilka tysięcy ludzi nie miało już pracy, na miasto ich nie wypuszczano, tak że dosłownie dusiliśmy się. Dnie ciągnęły się w niewysłowionej udręce. Rozumiano, że taka sytuacja długo nie potrwa. Ale jaką niespodziankę szykują Niemcy Żydom. Jak się zaprezentuje przed nami w najbliższych dniach artysta filmowy Kitel? Gubiliśmy się w domysłach przez cały dzień, ale na próżno. Życie społeczne w getcie koncentrowało się przede wszystkim w warsztatach, gdzie jeszcze szła jako tako praca. W innych instytucjach żydowskich panowało zupełne rozprzężenie. Zapanowała cisza w szpitalu i ambulatorium, gdyż lekarze, siostry, aptekarze, zostali wysłani do Estonii.

W instytucjach pozostały tylko jednostki, ale komu były potrzebne te instytucje, skoro wszyscy oczekiwali nowego uderzenia. Tak minęło jeszcze trzy dni. We wtorek wieczorem odbyło się zebranie kierowników zarządu getta. Brali w nim udział: nowomianowany przedstawiciel getta Bieniakoński, adwokat Milkonowicki, inżynier (Fried, Anatol) szewc Fiszman, inżynier Guchman, Salomon Gens i inni. Prawdopodobnie dowiedzieli się czegoś i zwołali zebranie, by omówić sytuację. Zakończyło się zebranie, jak mi później opowiadał artysta Szapse Blecher, w ten sposób, że postanowiono dać członkom zarządu getta po parze dobrych butów z warsztatów, ciepłą bieliznę i odzież, a każdemu policjantowi po 5000 rubli. Dzień następny, środa, przeszedł w ogromnym napięciu. W czwartek nad ranem obudził nas krzyk, że getto jest okrażone. Ledwo żywi wyskoczyliśmy z łóżek i wybiegliśmy na ul. Rudnicką 6. Tu już był wielki ruch. Policjanci biegali w różne

strony; getto było okrażone przez Ukraińców. Przez szparę w bramie, która wychodziła na ul. Końską 3, spacerowała tam i z powrotem wojskowa straż, mówiąca między sobą po ukraińsku. Jasne, że czekał nas „urozmaicony“ dzień. Policjanci obchodzili wszystkie ulice i domy i zwoływali wszystkich na Rudnicką 6, gdzie mieścił się zarząd getta. Tymczasem przybył na podwórze Kitel z przedstawicielem wileńskiego Gebiets-Komisariatu Laknerem. Szli z Bieniakońskim i kazali zwołać wszystkich na podwórze. Ludzie bali się iść. Ale dla wszystkich było jasne, że nie ma się nic do stracenia. Nerwy były stargane, cierpliwość się wyczerpała.

Na wpół martwi ze strachu i męki zebraliśmy się na podwórku domu Rudnicka 6 i ustawiliśmy się wokoło balkonu mieszkania, gdzie przedtem mieszkał Desler. Na balkon wyszli Kitel, Lakner, Bieniakoński z wielką trąbą. Na podwórku stało kilka tysięcy osób. Po chwili przedstawiciel wileńskiego Gebiets-Komisariatu Lakner odczytał następujący rozkaz: „W imieniu Wysokiego Komisarza terenów wschodnich rozkazuję: getto wileńskie, które istniało przeszło dwa lata, zlikwidować. Wszyscy mieszkańcy getta powinni w ciągu dzisiejszego dnia zostać wysiedleni częściowo do Estonii, częściowo na Litwę. We własnym interesie powinna ludność spokojnie wykonać rozkaz, należy się zapakować do 12-tej i opuścić mury getta“. Rozkaz ten odczytał Bieniakoński przez trąbę 2 razy po żydowsku, a później Kitel dodał kilka słów: „Wszyscy muszą według rozkazu opuścić getto, w wypadku nieposłuszeństwa domy zostaną wysadzone dynamitem“. Jak skamieniali staliśmy na miejscu. W pierwszej chwili nie mogliśmy ogarnąć całej grozy sytuacji. Opuścić getto? Wyjechać? dokąd? Do Estonii, na Litwę? A może jest to spacer na Ponary? Boże drogi, Boże, co się tu dzieje. Przecież oszaleć można! Czego chcą ci bandyci od nas? Jak długo trwać będą nasze męki i cierpienia? Opuścić getto? Czy wszyscy wyjdą, czy też może garstka uprzywilejowanych zostanie? O tym należy wiedzieć, od tego zależy nasz sposób zachowania się. W tym momencie jest to najważniej-

sza kwestia. Bez namysłu przepycham się do Kitla i Laknera i zapytuję: „Czy wszyscy bez wyjątku muszą opuścić getto, czy też część uprzywilejowanych zostanie tutaj, tak jak to się praktykowało przy różnych akcjach? Na chwileczkę stanęli i Lakner powiedział: „Żadnych przywilejów teraz nie ma, getto zostanie całkowicie zlikwidowane. Wszyscy muszą odejść. Ale spokojnie... tak! tylko spokojnie“.

O to im właśnie chodziło. Przede wszystkim zależało tym mordercom, by wszystkie akcje przeszły spokojnie.

Po krótkiej naradzie z żoną i córką postanowiliśmy, że one spakują rzeczy, a ja będę szukał sposobów, byśmy nie byli zmuszeni opuszczać Wilna. Tymczasem tłum przed rozejściem się z podwórka zarządu getta na Rudnickiej-6 rzucał się na składy getta. Ludzie byli ostatnio bardzo wygłodzeni, ale w składach zarządu getta było bardzo dużo mąki, chleba, sucharów, cukru, masła... Tłum wdarł się do składów. Ludzie zaczęli wyciągać worki z kaszą, mąką, chlebem. Wynosili całe skrzynie z masłem i innymi produktami. Potem wszyscy rozeszli się do domów, by spakować rzeczy i zastanowić się nad możliwością ukrycia się.

Dowiedziałem się, że część uprzywilejowanych otrzymała zezwolenie na wprowadzenie się do bloków H. K. P., znaczy to, że znówu są uprzywilejowani. A jeżeli tak, muszę coś uczynić, by zostać w mieście. I znowu nawiedzają mnie te same myśli... Dokąd jechać, czy w ogóle dojedziemy gdzieś i jak długo mogą tacy ludzie jak ja z żoną i dziećmi wytrwać w obozie koncentracyjnym. Może jednak uda się zostać w Wilnie, bo chociaż tu jest źle, to przecież jest się wśród przyjaciół, znajomych, towarzyszy... Myśląc tak i szukając jakiegoś wyjścia, natknąłem się na oficera, który przybył do getta z H. K. P. Po krótkiej rozmowie z nim udało mi się dostać od niego zezwolenie na osiedlenie się w H. K. P. w charakterze dezynfektora. Uszczęśliwiony takim obrotem sprawy ja z żoną, matką i dziećmi wraz z rzeczami usadowiliśmy się w aucie ciężarowym gotowi do wyjazdu do H. K. P. Ale tu wyszli uprzywilejowani robotnicy z warsztatów

mechanicznych ze swoim kierownikiem Rejzmanem na czele i podnieśli gwałt, żeśmy zajęli ich miejsca. Rzucili się na nas jak dzikie bestie, zaczęli ciągnąć, rwać, zrzucać paczki, powstał krzyk, hałas. Szofer doszedł do auta, rozpedził wszystkich i odjechał sam. Ogarnęła nas rozpacz. Tu doszedł do mnie poeta Chaim Siemiatycki i zapytał się: „Mendel, co zamierzasz uczynić?“ — Nie wiem, co robić — odpowiadam — a jakie są wasze zamiary, Chaimie? Odpowiedź brzmiała: „zostaję w schronie“. Więcej go już nie widziałem. Po chwili doszedłem do Abrama Zajdsznura, który właśnie przechodził tamtędy.

— Co zamierzacie robić Abramie? — zapytałem go się. Odpowiedział „Zostaję w schronie“, (Abram Zajdsznur przesiedział 2 miesiące w schronie i w końcu został z rodziną wydany przez żydowskiego prowokatora).

Bezradni, przegnębieni staliśmy z paczkami na podwórku i nagle zauważyliśmy, że nie ma naszej matki. Zaczęliśmy wołać: „Mamo, droga mamo, gdzie jesteś? Kiedy ją złapali? Jak? Nie ma już matki“.

Wraz z matką znikła mała waiizeczka, którą trzymała i w której leżało 7 zeszytów, gdzie skrętnie zapisywałem wszystkie wydarzenia w getcie. Moja żona i dzieci wybuchają płaczem: „Mamo, babciu, gdzie jesteś. Nie ma wiernej od danej babci“.

Sytuacja była jednak taka, że długo nie mogliśmy medytować nad wielkim nieszczęściem, które na nas spadło. Musieliśmy mieć otwarte oczy i dokładnie obserwować wszystko, co się dookoła działo. Zostało nas 4 osoby, które chcą żyć, wśród nich 12-letni chłopiec i 18-letnia dziewczyna. Tłum przechodził przez bramę, getto coraz więcej się wyludniało. Zbliżył się wieczór. Postanowiliśmy ukryć się gdzieś na noc. Zauważyłem, że z getta wychodzą wszyscy oprócz uprzywilejowanych. Ci są spokojni i jak gdyby oczekują czegoś. Postanowiłem więc nie spuszczać ich z oka i dociec, czy nie tkwi w tym jakaś kombinacja. W ten sposób dostaliśmy się do Komendy Policji Głównej. Zgromadziło

się tam wiele ludzi i wszystkie rodziny policjantów. Przekonany, że tu urządzili sobie schron, postanowiłem, pomimo ich energicznego sprzeciwu, pozostać tu za wszelką cenę na noc. Był tu wielki tłok, ludzie siedzieli z paczkami na ziemi. Intendent policyjny Waker wnosił co chwila butelki z winem i konserwy do gabinetu, gdzie siedzieli Kitel i inni Niemcy. Całą noc żarli i chlali. Interes został ubity w nocy, za znaczną sumę złota wywieziono autem większą ilość ludzi do bloku H. K. P. Dowiedziałem się, że ma przybyć jeszcze auto. Od razu wziąłem żonę, dzieci, trochę niezbędnych rzeczy (resztę zostawiłem na dworze) i doszliśmy do bram getta. Była 4 godzina nad ranem. Przy bramie stało kilku policjantów, prawdziwych wyrzutków społeczeństwa. Nie pozwolili nam oni czekać na auto. Nawet w tej chwili nie zdobyli się na żaden ludzki odruch. Postanowiliśmy iść z powrotem do Komendy Głównej i czekać do rana. W tym momencie nadchodzi Salomon Gens a widząc nas, rzucił się na nas jak dzika bestia: „Chcecie odejść od bramy, chcecie unieszczęśliwić całe getto?! Tu zostajecie, nie wolno wam się ruszać z miejsca“.

— Co mówicie Gens, czy można jeszcze bardziej unieszczęśliwić getto? Jeszcze nie zapomnieliście waszych starych kawałów?

— Milczeć, bo was zabiję — i rzucił się na mnie z najałką w rękę.

Dzieci zaczęły płakać. Odsunął się ode mnie, krzycząc do policjanta, żeby nas pilnował. Lecz po kilku minutach udało się nam niepostrzeżenie wydostać się z bramy przy ul. Rudnickiej 23 i skierować się z powrotem do Komendy Głównej. Tu spadł na nas nowy cios. Przy wejściu do Komendy stał żydowski policjant i nie chciał nas wpuścić. Błagaliśmy go, by się zlitował nad nami, żeśmy tu już nocowali i mamy tu swoje rzeczy, ale nic nie pomogło. Wyszedł komisarz Oster i zaczął nas gnać w kierunku teatru, gdzie spędzono wielu ludzi, którzy nie zdążyli wyjść do wieczora z getta. Baliśmy się tam iść, panoszyło się tam kilku

policjantów. Sporządzali listy i zapisywali, kto ma jechać na Litwę, kto do Estonii, a kto do bloku H. K. P. Nawet teraz w ostatniej chwili szukali zarobków i nabierali łatwowiernych, bo przecież nie mieli żadnego wpływu w tych sprawach. Jak widać, policja żydowska pozostała sobą; rabowała, gnębiła do ostatniej chwili.

Wiedząc, że normalnym sposobem nie dostanę się do Komendy i nie chcąc iść do teatru, wziąłem żonę i dzieci i weszliśmy do Komendy przez tylne okno. Od razu nam się lżej zrobiło na duszy, gdyśmy się dostali do wnętrza, jak gdyby stamtąd miał przyjść nasz ratunek. Zależało mi na tym, by być bliżej uprzywilejowanych, gdyż przypuszczałem, że znajdą dla siebie wyjście. Tak przesiedzieliśmy do świtu. Siedzieliśmy tak długo, aż usłyszeliśmy ciężkie kroki żołnierzy i krzyki Niemców nawołujące do wyjścia. Obserwowaliśmy przez okno tłumy ludzi, wychodzące z teatru. Ale nas w Komendzie nie ruszano. Nagle zobaczyliśmy, jak z drugiego wyjścia budynku teatralnego wychodzi wielka partia policjantów z rodzinami, z paczkami i workami. Po chwili zobaczyliśmy nową partię, ale czy to możliwe?... W tej partii kroczą obok siebie... Fried, Milkonowicki, inż. Guchman i inne wielkie figury. Więc ci panowie którzy dwa lata bez przerwy wysyłali innych na Ponary, którym niczego nie brakowało, którzy, jak Fried, 3 razy dziennie zmieniał garnitury, idą razem z workiem na plecach razem z ludem! A więc Lakner miał rację, mówiąc, że tym razem żadnych przywilejów nie będzie.

Ale i nam nie pozwolono długo siedzieć w Komendzie. Nagle usłyszeliśmy okrzyk, nawołujący do wyjścia. Ludzie zaczęli powoli wychodzić, ale ja się jeszcze wciąż ociągałem. Pustka zaczęła wyzierać ze wszystkich kątów. Zaczeliśmy przechodzić z jednego pokoju do drugiego, tam ujrzelśmy ukrytego policjanta Ostera z rodziną i jeszcze kilku wyższych policjantów z sądownictwa. Rzucili się na mnie z krzykiem, bym się stąd wyniósł. „Nie moi drodzy“ — powiedziałem — dzisiaj nic z tego nie będzie. Tym razem wam się nie uda, tym razem wy pierwsi wyjdziecie, a ja na końcu“.

Przebywaliśmy dłuższy czas w pokoiku, gdyśmy usłyszeli rozmowę, która się toczyła po drugiej stronie okna między Kitlem i Salomonem Gensem; Kitel pytał: „Jesteś przekonany, że już nikogo nie ma w tych budynkach? Pamiętaj, że jeżeli kogoś znajde, wysadzę ten budynek dynamitem“.

— Gwarantuję że z tych domów wszyscy już wyszli. Nie ma tu już żywej duszy — odpowiada Salomon Gens.

Słyszac te słowa, Oster, adwokat Rubinow i inni opuścili pokój. Ja zostałem. Tu żona z córką zaczęły krzyczeć, że nie chcą tu pozostać, bo nas zabiją. — Jeżeli cała policja wychodzi — powiedziała żona — to i nam nie wolno tu zostać. Pod jej wpływem wyszliśmy. Natychmiast otoczyli nas Ukraińcy i zaprowadzili do pozostałej grupy ludzi, których przedtem wyprowadzono z teatru. Stali tam również „wielcy ludzie“, o których wyżej wspomniałem. Był to już piątek 24 września 1943 r. między 7-mą a 8-mą rano. Pierwsze podwórze przy ul. Rudnickiej 6 było ostatnim etapem, skąd wysyłano ludzi. Wciąż nowe partie ludzi szły do bramy. Po ich wyjściu ruszyliśmy pod eskortą żołnierzy na ul. Rudnicką w kierunku bramy. Po drodze przyłączyli się do nas jeszcze ludzie i utworzyła się grupa z kilkuset osób. Poraz ostatni przechodziliśmy przez Rudnicką. Każdy był zagrożony w swoich myślach. Przed dwoma laty zamknięto nas tutaj. W ciągu tych dwóch lat marzyliśmy, że przyjdzie taka chwila, gdy jak wolni ludzie wyjdziemy z getta. I teraz wyszliśmy, ale jak? dokąd? Nie wiemy co nam szykuje los. Nie mamy pojęcia, co się z nami stanie w najbliższych godzinach. Może prowadzą nas na inne miejsce, a może nas od razu zabiją? Idziemy wszyscy razem, moja żona, moje dzieci. Każdy dźwiga paczkę. Większą część paczek już przedtem rzuciliśmy i pogubiliśmy. Nie mamy już sił ciągnąć tych paczek ze sobą, już przeszło dobie męczymy się tak. Obok mnie idzie Salomon Gens ze swoją młodą żoną i z niemowlęciem na ręku, obok mnie kroczy farmaceutka Reszańska, która cieszyła się wielkim wpływem w getcie, za-

wdzięczając to kontaktowi z gestapo. W naszej grupie są wszyscy kierownicy zarządu getta. Idą tak, jak my z paczkami na plecach. Nie ma wyjątków. Należy przyznać, że przy wywiezieniu na Ponary Niemcy nie robili żadnej różnicy między Żydami. Tę różnicę w tych ciężkich czasach stworzyli Żydzi sami. Oni wzięli sobie prawo kwalifikowania, kto ma iść na Ponary, a kto ma zostać przy życiu. W ich wyrokach decydowały różne względy.

Dzisiaj idą ci „wielcy“ obok nas. Los ich również nie ominął. Dochodzimy do bramy gettovej. Ostatni raz spoglądam na bramę, na ulicę. Czy dożyjemy jeszcze tej chwili, by tu wrócić ze swoimi rodzinami, lub może jest to nasze ostatnie spojrzenie na ul. Rudnicką. Wyszliśmy z bramy i od razu zostaliśmy otoczeni przez Ukraińców, którzy trzymali w ręku broń skierowaną wprost na nas. Dreszcz wstrząsnął nami, odruchowo przysunęliśmy się jeden do drugiego i poszliśmy dalej. Ostatnie spojrzenie rzucam na wielkie obwieszczenie przybite do bramy: „Bacność zaraza. Dzielnica żydowska. Wstęp niemieckim wojskowym i nie-Żydom wzbroniony“. Przeszliśmy obok kościoła Wszystkich Świętych, weszliśmy na ulicę Końską, przeszliśmy przez Hetmańską, przecięliśmy kawałek Wielkiej. Zdaleka widzimy kilku chrześcijan, którzy przyglądają się naszej tragedii. Co myślał? Może zbierają się już przy bramie getta tłumy ludzi i oczekują chwili, gdy będą mogli się rzucić na porozrzucany na podwórkach, domach i ulicach dobytek żydowski... Idziemy dalej, jesteśmy już w wąskiej ulicy Subocz; rzędy zewężają się i wyciągają. Nagle słyszymy hałas, widzimy jak biegnie oficer niemiecki i coś krzyczy. Okazuje się, że jakaś dziewczyna wysunęła się i chciała się wślizgnąć do bramy, ale na nieszczęście zauważył to Niemiec i złapał ją, chwilę ją ciągnął i nagle usłyszeliśmy strzał, dziewczyna padła na miejscu...

W strasznej trwodze i mękach doszliśmy do klasztoru na ulicy Subocz. I tu powstał straszny tumult. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi. W szeregi nasze wdarli się żołnierze

i zaczęli nas pchać, pędzić w tę i drugą stronę. Czuliśmy, że dzieje się tu coś niezwykłego. Już widzę, jak pędzą moją żonę, jak ją pchają. Moja córka dobiegła do mnie, padła na mnie z krzykiem: „ojcze“ i pocałowała mnie. Ale w tej samej chwili oderwały ją ode mnie żołdackie ręce i gdzieś pociągnęły. W tymże okamgnieniu otoczyli mnie inni bandyci. Zaczęli krzyczeć: „Prędzej dawaj pieniądze, zegarki, brzytwy, dawaj prędzej, daj, daj“.

Nie zwracając uwagi na krzyki Ukraińców, złapałem swego chłopca mocno za rękę. Jeden żołnierz zaczął mnie obmacywać i nie znalazłszy nic, zostawił mnie w spokoju. Wykorzystałem ten moment, by zobaczyć, co się dzieje. Zauważyłem, że kobiety, które od nas gwałtem oderwano, wpędzono na dziedziniec klasztorny... Ostatnie spojrzenia rzuciliśmy na nasze żony i dzieci. Ból ścisnął serce. Nie ma żony, nie ma córki. Wczoraj zabrali starą matkę. Przeszło dwa lata chroniłem je od zmartwień i niebezpieczeństw. Dzisiaj stało się to nieszczęście. Akurat w dzień urodzin mojej żony oderwano ją ode mnie. Łzy zaczęły mnie dusić. Ale długo poddawać się bólowi, który w nas ugodził, nie wolno było. To było też zabronione. Przy klasztorze nas zatrzymano. Znowu rozpoczął się rabunek.

Żołdacy zabierali wszystko, co im wpadło do ręki. Nagle usłyszeliśmy wystrzały. Gdyśmy spojrzeli w kierunku tych strzałów, oczom naszym przedstawił się straszny obraz. Pośrodku ulicy wisiał adwokat Chwojnik, bundowiec, aktywny działacz w getcie, miał okaleczoną rękę. Dalej wisiał zegarmistrz Lewin Grisza i studentka Asia Bin. Szeptano, że powieszono ich, gdyż stawiali opór. Jak było naprawdę, nie wiedzieliśmy, gdyż wszystko to stało się z nami przyszlismy na miejsce.

Tak staliśmy przeszło godzinę w ten słoneczny, piękny poranek, złamani bólem po przeżyciach ostatnich 30 godzin. Żołnierze nie przestawali rabować. Niemcy biegali jak zwariowani tam i z powrotem. Kitel był wszechobecny. Stojąc na ulicy, podzieliliśmy się na grupki i rozmawialiśmy między

sobą. Nie mogliśmy sobie darować, żeśmy tak łatwo dali się podejść. Przeszło dwa lata chroniłem swoją rodzinę przed łapankami. Usuwałem z ich drogi grożące im niebezpieczeństwo. Bez żółtych zaświadczeń, bez przywilejów, sam własnymi rękoma, własnym mózgiem, własną energią i inicjatywą chroniłem 5 osób. Uchroniłem ich od tyłu selekcji, akcji i teraz w ostatniej chwili taki wpadunek. Pozwoliłem sobie zabrać matkę, żonę i córkę, 18-letnią dziewczynę. Odżyły we mnie wspomnienia z 1939 r., gdy zaraz po wybuchu wojny uciekłem z Łodzi, gdzie zostawiłem całą rodzinę. Tak długo nie spocząłem, aż sprowadziłem ją do Wilna, zaopatrzoną w solidne paszporty nansenowskie. Wszyscy mnie wtedy za ten czyn podziwiali. Wtedy mi się udało, a dzisiaj, niestety, nie...

Zmęczeni usiedliśmy na ziemi, na ulicy, ale myliliśmy się, myśląc, że nam pozwolą odpocząć. Nagle słyszymy komendę: „Stanąc po 10 osób w rzędzie“. I znów te krzyki: „Prędzej, prędzej“. Nie mają czasu.... Podnosimy się z miejsca. Nagle widzimy, że z ulicy Subocz zbliżają się w naszym kierunku auta ciężarowe. Zbledliśmy. Zapomnieliśmy o wielkim ciosie, który na nas spadł. Auta ciężarowe dla kogo? poco? To znaczy, że nie jedziemy do Estonii, na Litwę, lecz autami, dokąd?—„Na Ponary“—słyszymy cichy zduszony szept. Zaciągnęli nas w pułapkę. Moje dziecko tuli się do mnie i pyta: „Tatusiu, prowadzą nas na Ponary? Czy już wszystko skończone?“ Ukradkiem spojrzałem na niego, widzę, że jest blady jak kreda. Jaką odpowiedź mam dać dziecku, które tuli się do mnie jak pisklę. Mówię: „Nie wiem, czy nas wiozą na Ponary lub gdzie indziej. Zobaczymy co dalej będzie“. Nie mamy rady. Nie mamy czasu do zastanowienia się. Nasi oprawcy krzyczą: „Prędzej, prędzej“. Ludzie się ustawiają, ale każdy stara się wyslizgnąć z pierwszych rzędów. Nikt nie chce być pierwszym. Ludzie cofają się w tył. Niemcy, Ukraińcy okładają nas kolbami, my też cofamy się w tył. Żołnierze zaczynają jeszcze silniej okładać nas kolbami i w końcu rezygnujemy. Stajemy po 10 osób w szeregu. Motory huczą, otaczają nas żołnierze z automatami w rę-

kach. Tulimy się jeden do drugiego. Słyszę za sobą szept: „Boże, za co nam się to należy“ A ja myślę wtedy: „Czyż naprawdę mamy zginąć w taki piękny pogodny dzień? Czy mam zginąć dzisiaj, w dniu urodzin swojej żony?“

Co za ironia losu. Los bawi się nami bezbronnymi, najniezwyklejszymi z nieszczęśliwych? Nie mam nawet noża przy sobie, by rzucić się w ostatniej chwili na jednego z oprawców. Stoimy już w szeregach, żołnierze naokoło nas, motory huczą. I w takiej sytuacji, w takim stanie stoimy znowu pół godziny. Czy może człowiek, który tego nie przeżył, zrozumieć nasz ból, naszą mękę. Ale na wszystko przychodzi kres. Słyszymy komendę: „ruszać“. Idziemy w przeświadczeniu, że są to ostatnie nasze kroki na ziemi, dalej będą nas już prowadzić do grobu, jak „panów“ — na autach. Czy przyszykowali już dla nas groby, lub może sami będziemy musieli kopać sobie doły przed rozstrzelaniem? Ale myśleć nie wolno. Idziemy, lecz co to znaczy? Pierwszy szereg wchodzi w uliczkę, która prowadzi na Rosę? Czy nie jest to sen?! Czy jesteśmy przy zdrowych zmysłach?! Wchodzimy w uliczkę. Trzymam dziecko mocno za rękę. Nie widzimy już aut, już nie słyszymy szumu motorów. — Tatusiu, Tosiku — krzyczymy jednocześnie. Całujemy się, nasze oczy są wilgotne. A więc żyjemy, nie prowadzą nas na Ponary. Widzimy jak Kitel odlicza 10, 20, 30 itd. na prawo i znowu 10, 20, 30 itd., na lewo. Co to znaczy?... Ale prędko uspakajamy się, po obu stronach linii kolejowej stoją wagony. Jedna partia, składająca się z 70 osób, poszła na jedną stronę linii kolejowej, drugą partię kieruje się na drugą stronę. To znaczy, że jedna partia pojedzie do Estonii, a druga na Litwę. Chciałem iść z partią, która jedzie na Litwę, gdyż Litwa była mi bliższą. Ale trudno było odgadnąć jaki pociąg jedzie na Litwę, a jaki udaje się do Estonii. Zresztą, niech się stanie wola Boska, gdzie los nas poprowadzi, tam pojedziemy. I pewnymi krokami, trzymając mocno swoje dziecko za rękę, dochodzimy do wagonu.

Przechodzimy obok Kitla, jak żołnierze w marszu ceremonialnym. Wchodzimy do środka. Jestem jednym

z pierwszych i od razu zajmuję miejsce w kącie przy oknie. Rozglądam się. Jest to duży 50-cio tonnowy wagon bez ławek, bez ubikacji. Brudny, okienka zakratowane. Wagon jest już zatłoczony, jest ciasno, brudno, paczki spadają na ziemię. Lecz ma to swoją zaletę, będziemy mogli usiąść na paczkach i trochę odpocząć po tych strasznych przeżyciach. W wagonie nie ma się gdzie ruszyć, jest już w nim 71 osób z paczkami i tłumokami. W tych warunkach będziemy musieli jechać, kto wie jak długo. Lecz co to znaczy dla ludzi, którzy przed kilkoma minutami poczuli technienie śmierci na sobie. Tymczasem widzimy, jak załadowują coraz to nowych ludzi do wagonów. Ale co to... Dochodzą żołnierze i zaryglowują drzwi wagonu. Jesteśmy uwięzieni. Mamy do swojej dyspozycji okienka, prawda małe, zakratowane, ale dające jednak możliwość oglądania wszystkiego, co się wokoło nas dzieje. Powoli uspakajamy się, siadamy wygodniej. W wagonie znajdujemy kilka desek. Robimy sobie z nich ławki. Teraz dopiero zaczynam się przyglądać moim towarzyszom podróży. Wielu znam. Obok mnie siedzi artysta Szapsa Blacher. Z drugiej strony siedzi stary Olejski z synem, sierżantem policji gettovej i siostrzeńcem. Siedzi brygadier grupy sanitarnej Woron, który z kilku ciemnymi typami został sprowadzony z Gestapo do getta w dzień likwidacji, dalej siedzi buchalter Gurwicz i inni. W wagonie było wielu policjantów, którzy byli obładowani paczkami. Przyglądam się swoim dwóm małym paczkom i serce mi się zaciska w trwodze. Jak wytrwam, nie mając pieniędzy ani kosztowności. Pocieszam się, że w ostatniej chwili udało mi się oddać żonie wspaniałą złotą zegarek z łańcuszkiem i kilka tysięcy rubli. Niech chociaż one mają przy sobie trochę grosza w ciężkiej chwili.

Nagle drzwi się otworzyły i wywołano 5 — 6 zdrowych, młodych ludzi, by poszli za prowiantem. Radość ogarnęła wszystkich. Od razu wyszło kilku młodych ludzi, rekrutujących się z byłych policjantów i zaczęli znosić skrzynki z wodą mineralną po dziesięć flaszek na osobę. Po chwili przynieśli po 2 bochenki chleba na człowieka. Przy-

niesiono o 50 bochenków więcej niż nam się należało. Po chwili przynieśli kielbasę i tłuszcz. Poczuliśmy się jak w raju. Kontrasty były zbyt jaskrawe. Przed kilku godzinami stało przed nami widmo Ponar, a teraz dają nam kielbasę, tłuszcz, chleb, wodę mineralną do picia. Załatwianie spraw aprowizacji wagonu trwało kilka godzin. Było już około drugiej. Nastrój w wagonie się polepszył. Na wniosek Worona komendantem wagonu został wybrany były sierżant Olejski. Woron wciąż jeszcze nie mógł pozbyć się obawy przed byłą policją i przy każdej okazji wysuwał policjantów. Byliśmy zmęczeni. Było nam obojętne, kto będzie komendantem, Olejski czy Woron. I dlatego nikt się nie odezwał ani słowem, gdy zaczęto wysuwać te same typy, które zęcały się nad nami w getcie. Postanowiono rozdzielić produkty, gdy pociąg ruszy.

Gawenda Herc, który siedział obok mnie, dał nam tymczasem kawałek chleba. Gawendę znałem od kilkunastu lat. Byłem na jego weselu w sali „Pasaż” w Wilnie. Znałem dobrze jego rodzinę. A tu los nas znowu połączył. Tymczasem skierowano nasz pociąg na boczny tor i kupiłem kilka jabłek u wyrostków ze Szkaplernej ulicy. Tę transakcję zauważyli żołnierze, którzy nas pilnowali, rozpędzili chłopców, ale jabłka już były moją własnością. Nastrój w wagonie na ogół był dobry, ból spowodowany rozstaniem z żonami i dziećmi stępił się nieco. Ludzie żyli chwilą dzisiejszą. Ale nasz spokój nie długo trwał. Znowu przeżyliśmy okropne chwile strachu i cierpienia. Jedynie bestialstwo i sadyzm Niemców mogły dojść do takiej perfidii, by doprowadzić ludzi do stanu bliskiego oblędu. Sprawa ta przedstawiała się następująco: produkty były już w wagonie, ludzie coś nie coś zjedli, popili wodą i wówczas zaczęli się wysuwać z okienek i pytać przechodzących robotników kolejowych, czy nie widzieli naszych kobiet i dzieci, czy jadą z naszym transportem, czy też z innym? Odpowiedzieli, że nic nie wiedzą, że żadnych kobiet nie widzieli. W pewnej chwili zadaliśmy od niechcienia pytanie jednemu konduktorowi dokąd jedziemy. Odpowiedź, którą nam dał, wstrząsnęła nami. Skamienieliś-

my z przerażenia. Powiedział, że jedziemy na Landwarowo. „Co mówicie, na Landwarowo?! To znaczy przez Ponary...” Dreszcz nas przeszył. Na Ponary. Znowu na Ponary. Co się tu dzieje, przecież nas wiozą do Estonii! Więc skąd znowu Ponary?! Przecież jest to zupełnie inny kierunek. Zapomnieliśmy o wypoczynku, o jedzeniu, o piciu. W mózgu wirowało tylko jedno słowo: „Ponary”. Teraz już zapytywaliśmy każdego przechodzącego robotnika kolejowego: „Dokąd jedzie pociąg?!” Odpowiedź brzmiała zawsze tak samo: „Nie wiem” lub „na Ponary”. Im dłużej tu stoimy, tym większy niepokój nas ogarnia. To jasne. Robotnicy kolejowi twierdzą, że pociąg jedzie na Ponary. Jeden robotnik mówi, że pociąg zatrzyma się w Ponarach. Zapytaliśmy jednego polskiego robotnika, który stanął przy naszym okienku: „Czyście już kiedyś prowadzili pociąg na Ponary?”

— Tak — odpowiedział.

— A czyście najpierw byli zawiadamiani o tym, że pociąg się zatrzyma?...

— Nie — odpowiedział — rozkaz zatrzymania pociągu otrzymywaliśmy w ostatniej chwili, lecz nie przy wyruszeniu...

Znaczy to, że jedziemy przez Ponary i tam mogą nas zatrzymać... Więc pocóż ta cała komedia, poco nam dali żywność na 5 dni, poco nam dali tyle wody, tłuszczu, kielbasy, chleba? Miał by to być podstęp? Poco? Przecież i tak już jesteśmy w pułapce. Wagony zaryglowane, okienka zakratowane. Dokąd uciekać? Jak się ratować? Sytuacja jeszcze tragiczniejsza niż zrana. Uciekać z wagonu przez okienko? Zanim jeden człowiek wyskoczy, położyć innych trupem. Co robić? Jak ratować dziecko? Gorączkowo szukam ratunku. Moje dziecko znowu się tuli do mnie. Jest przeraźliwie blade, jego głos dygoce: „Tatusiu, czy to już koniec, czy nas naprawdę wiozą na Ponary?” Jaką mam dać odpowiedź dygocącemu dziecku? Odpowiadam mu jak z rana:

„Nie wiem, Tosiku. Możliwe, że wiozą nas na Ponary, możliwe, że nie, i wszystko się dobrze skończy”.

W wagonie ludzie ani na chwilę nie przestają mówić i dyskutować. — Wiecie — mówi jeden — będziemy mieli znak. Jeżeli dziś w nocy wyjedziemy, to znaczy, że wszystko w porządku, lecz jeżeli zostaniemy tu przez noc, to źle, to znaczy, że jedziemy na stracenie, do Ponar.

To prawda, bo przecież w nocy strzelać nie będą. A więc należy czekać. Nasze nerwy są naprężone do ostatnich granic. W pewnej chwili przeszedł obok okienka oficer niemiecki z SS. Zapytałem go (nie miałem już nic do stracenia), czy to prawda, że wiozą nas na Ponary...

— Nie na Ponary — mówi, lecz przez Ponary. Bądźcie spokojni, nic złego wam się nie stanie...

Czy możemy być spokojni, czy możemy ufać słowom Niemca. Ale wyczuł napewno nasz niepokój, bo stanął przy drugim okienku i jeszcze więcej zapewniał, żebyśmy byli spokojni, że jedziemy przez Ponary...

Jakże pragniemy, by tak było. Chcielibyśmy doczekać tej chwili, by pociąg już ruszył. Niech będzie, co chce, aby już ruszyć z miejsca. Brak już sił, brak cierpliwości. Jak znaleźć w sobie siły, by przeżyć takie emocje? Dręczy nas również myśl o losie naszych żon i dzieci. Pociąg stoi długie godziny. Zdenerwowanie nasze doszło do najwyższego napięcia. Zapada zmierzch. I oto słyszymy syk lokomotywy, a więc jedziemy, nie zostajemy tu na noc. A o ile tak, to nie zostaniemy na Ponarach, tylko przejedziemy tamtędy. Jeszcze kilka chwil i pociąg rusza z miejsca. Zapada już zmierzch, dzień się kończy. Pociąg jedzie powoli. Każdy obrót kół, to uderzenie nożem w nasze serca. Każdy obrót kół zbliża nas do przeznaczenia. Z szeroko otwartymi oczyma stoimy przy okienkach i patrzymy na świat Boży. Liczymy minuty i sekundy. Czy naprawdę żegnamy się teraz na wieki z Wilnem, ze Szkaplerną, z dużym mostem, po którym przejeżdżamy. Wilno! Wilno! czy nigdy cię już nie zobaczymy?

Wilno, moje miasto rodzinne. Miasto, w którym urodzili się moi rodzice, mój dziadek i babka. Moi najbliżsi są pochowani na wileńskim cmentarzu, nawet nie pożegnałem się z nimi. Nigdy nie wyobrażałem sobie takiego rozstania się z Wilnem. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że opuszczę swoje miasto w zaryglowanym, brudnym wagonie, z zakratowanymi okienkami pod strażą żołdaków.

W miarę oddalenia od Wilna coraz większa cisza zalega wagon. Ta cisza zawisła nad nami jak ciężka chmura. Każdy z nas jest pogrążony we własnych myślach. Nawet mój chłopczyk milczy. Tuli się do mnie jak mały bezbromny kociak. Co przeżywa to dziecko niewinne w tych chwilach!

Kilku z nas stoi przy okienku. Możliwie, że patrzymy na świat Boży już poraz ostatni. W wagonie jeszcze więcej się ściemniło. Obok mnie przy oknie stoi młody aplikant Łazar Olejski. W getcie miał wielkie wpływy. Był sierżantem policji żydowskiej. Czuję jego oddech. Drży jak liść. Widać, że jest zupełnie złamany. Jego podłużna twarz jeszcze więcej się wyciągnęła. Jest blady jak kreda. Nic dziwnego, że drży tak bardzo. Na niego, jak i na inne wpływowe osobistości getta, katastrofa ta spadła niespodzianie. Przeszło dwa lata panoszyli się w getcie. Robili wszystko, by ratować siebie i swoich najbliższych. Całe getto mogło zginąć, byleby oni żyli. Dla nich przeżycie ostatnich dwóch dni było zupełnie nieoczekiwane. Nawet ostatniej nocy niektórzy brali łapówki, nie zaniechali swoich sprawek. Brali u nieszczęsnych stłoczonych w budynku teatru Żydów „dziesiątki“ za wyjazd na Litwę. A dzisiaj taki cios ich spotkał. Nie spodziewali się, że zostaną z innymi zwykłymi Żydami zamknięci w bydlęcych wagonach, które ich zawiozą na Ponary. Muszę przyznać, że osobiście byłem zupełnie „spokojny“. Grozę budził we mnie tylko los mego dziecka. Jego chciałem ratować. A jeśli idzie o mnie, to już dziesiątki razy w ciągu tych przeszło dwóch lat zajrzałem śmierci w oczy. Starałem się opanować, by lęk mój jeszcze więcej nie przeraził dziecka.

Jedziemy dalej, zbliżamy się do tunelu. Przypominam sobie, jak kiedyś, będąc młodym chłopcem, jechałem poraz pierwszy do Trok przez Landwarowo. Wówczas również jechałem przez tunel.

Pragnąłem, by się stała katastrofa, byśmy wszyscy tu na miejscu zostali zabici, byśmy nie dojechali do Ponar... Chciało się umrzeć, ale nie z ręki Niemców. Gdy pociąg wyjechał z tunelu, usłyszeliśmy nagle okrzyk jakiegoś młodzieńca: „Dajcie mi dojść do okienka. Pracowałem w tych miejscach u Niemców, znam tu każdy kącik. Ja wam powiem, czy jedziemy w kierunku Ponar czy też na Landwarowo. Tu rozchodzą się szyny kolejowe na prawo i lewo“. Odeszliśmy od okienka. Ono będzie naszym ostatnim drogowskazem. W prawo, w lewo, gdzie jest życie, a gdzie śmierć. W prawo, w lewo. Młody mężczyzna stoi przy okienku i szepce, jakby do siebie samego: „zaraz będzie przystanek Ponary“. Na lewo prowadzi droga do drutów kolczastych, skąd już nie ma powrotu. Na prawo idzie linia na Landwarowo... I teraz musimy śledzić każdy obrót koła, dokąd skręca lokomotywa. Lecz co to znaczy... Pociąg stanął... Martwa cisza, jak na cmentarzu. Każda sekunda to rok, to życie całe.

Młody człowiek przy okienku milczy. Przy innych okienkach stoi po 2 najsilniejszych ludzi z wagonu, położyli ręce na żelaznych kratkach, są gotowi jak Samson zmiążdżyć te zapory. Jak długo staliśmy, może ułamek sekundy, a może całą minutę. Ale nam się zdawało, że stoimy tu lata, długie lata. Nagle słyszymy znowu syczenie lokomotywy. Pociąg rusza... Oczy wszystkich w naszym wagonie są utkwione w młodym człowieku... Koła powoli się obracają, pociąg powoli rusza. Tulę główkę mojego dziecka do swojej piersi; dziecko moje, czy są to nasze ostatnie chwile, może na wpół pijani bandyci zastrzelą nas, by potem nasze martwe ciała strącić do uprzednio przygotowanego dołu. Co się dzieje teraz z moją żoną i 18-letnią córką, piękną, młodą dziewczyną? I ja, i moją żonę, i moją matkę, starą kochaną mat-

kę, wszystkich nas czeka ten sam straszny los i to właśnie dzisiaj w dzień urodzin mojej żony. Wszyscy w wagonie są jakby sparaliżowani. Nagle słyszymy okrzyk młodzieńca: „Pociąg ruszył na prawo, jesteśmy uratowani“. Gorące łzy spływają z moich oczu. Moje dziecko tuli się do mnie i płacze rzewnymi łzami.

Jesteśmy uratowani. Istotnie jedziemy do Estonii.

Jak snopy, jak podcięte drzewa padliśmy śmiertelnie zmęczeni na nasze pakunki.

Żyjemy. Jedziemy. Nie bardzo się zastanawiamy, dokąd jedziemy, co będzie dalej. Zasypiamy ciężkim, twardym snem...

Wydawnictwa Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej w Polsce

Ukazały się w druku:

- 1) **Instrukcje** dla zbierania materiałów historycznych z okresu okupacji niemieckiej — Łódź, 1945. Str. 22.
- 2) **Instrukcje** dla zbierania materiałów etnograficznych w okresie okupacji niemieckiej. Łódź, 1945. Str. 22.
- 3) **Instrukcje** dla badania przeżyć dzieci żydowskich w okresie okupacji niemieckiej. Łódź, 1945. Str. 16.
- 4) **Metodologiczne wskazówki** dla badania zagłady żydostwa polskiego (w jęz. żyd.). Łódź, 1945. Str. 47.
- 5) **„Dokumenty zbrodni i męczeństwa“**. Antologia zeznań świadków, składająca się z trzech działów:
a) W obozach.
b) Po miastach i miasteczkach.
c) Dzieci opowiadają.
Kraków 1945. Str. 222 + XVI.
- 6) **Mapa obozów na Górnym i Dolnym Śląsku**. Katowice 1946.
- 7) **Zagłada żydostwa polskiego** — Album zdjęć fotograficznych. Dokumentarne zdjęcia, ilustrujące barbarzyńskie metody okupanta w stosunku do ludności żydowskiej. Wstęp i objaśnienia w 6 językach, w oprac. G. Taffeta. Łódź, 1946. Str. XVIII + 104 + XV.
- 8) **Dr. Filip Friedman: „Zagłada żydów lwowskich“**. Studium oparte na osobistych wspomnieniach autora oraz pamiętnikach i zeznaniach. Łódź, 1945. Str. 38.
- 9) **Gusta Draenger: „Pamiętnik Justyny“** (pisany w więzieniu przez współorganizatorkę Żydowskiej Organizacji Bojowej w Krakowie) wstęp Józefa Wulfa. Kraków, 1946. Str. 120.
- 10) **Michał M. Borwicz: „Uniwersytet Zbirów“**. (Rzecz o obozie janowskim we Lwowie). Wstęp Marii Hochberg-Mariańskiej. Kraków, 1946. Str. 112.

- 11) **M. Gebirtig: „Es Brent“** (W jęz. żyd.). Powstałe pod okupacją utwory zamordowanego przez Niemców znanego pieśniarza ludowego. Wstęp Józefa Wulfa. Kraków, 1946. Str. 40.
- 12) **Rudolf Reder: „Bełżec“** — Prawda o obozie śmierci w Bełżcu opowiedziana przez autora, naoczego świadka ocalałego z komory gazowej. Wstęp Nelli Rostowej. Kraków, 1946. Str. 65.
- 13) **Leon Weliczker: „Brygada Śmierci“**. Pamiętnik więźnia tej brygady, której zadaniem było wykopanie i palenie zwłok celem zatarcia śladów masowych zbrodni dokonanych na terenie Lwowa i okolic. Wstęp Racheli Auerbach. Łódź, 1946. Str. 128.
- 14) **Dokumenty i materiały do dziejów Żydów w Polsce, część I: „Obozy“** w oprac. mgr. N. Blumentala (w tekście oryginalne dokumenty z Oświęcimia, Majdanka, Treblinka, Sobiboru, Bełżca, Chełmna itd). Wstęp autora p. t. „Obozy niemieckie w Polsce“ stanowi pracę syntetyczną omawiającą całokształt zagadnień obozów niemieckich w Polsce. Łódź, 1946. Str. 335 + 13.
- 15) **Michał M. Borwicz „Literatura w obozie“**. Szkic o podziemnym życiu i twórczości literackiej więźniów janowskiego obozu śmierci we Lwowie. Kraków, 1946. Str. 76.
- 16) **Stefan Otwinowski „Wielkanoc“** (dramat o zbrojnym oporze getta). Z ilustracjami Antoniego Uniechowskiego. Wstęp Michała M. Borwicza. Kraków, 1946. Str. 96.
- 17) **W trzecią rocznicę zagłady getta w Krakowie**. Publikacja zbiorowa, zawierająca szereg rozpraw i artykułów autorów polskich i żydowskich. Kraków, 1946. Str. 204.
- 18) **Dr Szymon Datner: „Walka i zagłada białostockiego getta“**. Dzieje ruchu oporu w getcie białostockim. Wstęp Dr. F. Friedmana. Łódź, 1946. Str. 48.
- 19) **Bauminger Róža: „Przy pikrynie i trotylu“** (obóz pracy przymusowej w Skarżysku Kamiennej). Wstęp Józefa Sieradzkiego. Kraków, 1946. Str. 62.
- 20) **Oczyrna 12-letniej dziewczyny** — pamiętnik Janki H., więźniarki i uciekiniarki (kolejno — z getta, wycień i obozu śmierci we Lwowie). Wstęp Marii Hochberg-Mariańskiej. Kraków, 1946. Str. 76.

- 21) Sz. Szajewicz: „Lech — L'cha” (w jęz. żyd.) wstęp N. Blumentala. Utwory zamordowanego przez Niemców poety, pisane w getcie. Łódź, 1946. Str. 74.
- 22) Noe Grüss: „Rok pracy Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej”. Łódź, 1946. Str. 62 — 5.
- 25) Mgr. Natan Elias Szternfinkiel: „Zagłada Żydów Sosnowca”. Praca oparta na zeznaniach, dokumentach itd. Katowice 1946. Str. 84.
- 26) Dr. Józef Kermisz: „Powstanie w getcie warszawskim”. Praca źródłowa oparta na dokumentach, między innymi na raporcie likwidatora warszawskiego getta — gen. Stroopa. Książka ta jest nowym wkładem w prace badawcze nad historią ruchu oporu żydowskiego. Łódź, 1946. Str. 116 — 7.
- 27) G. Taffet: „Zagłada Żydów Żółkiewskich”. Praca oparta na przeżyciach autora, pamiętnikach i zeznaniach. Wstęp dr. J. Kermisza. Łódź, 1946. Str. 72.
- 28) Ruch podziemny w gettach i obozach — materiały i dokumenty o ruchu oporu w oprac. B. Ajzensztajn. Wstęp M. M. Borwicza. Warszawa — Łódź — Kraków, 1946. Str. 213.
- 29) Dr. Abraham Melezin: „Przyczynek do znajomości stosunków demograficznych wśród ludności żydowskiej w Łodzi, Krakowie i Lublinie podczas okupacji niemieckiej”. Łódź, 1946. Str. 76 — 2.
- 30) Ber Ryczywół: „Jak przeżyłem Niemców” (w jęz. żyd.). Warszawa — Łódź — Kraków. Str. 52.
- 31) Dokumenty i materiały do dziejów okupacji niemieckiej w Polsce, tom III — Getto Łódzkie, część I opracował mgr. A. Eisenbach. Łódź, 1946. Str. 300 — 2.

w druku:

- 24) Pieśni getta wileńskiego w oprac. Sz. Kaczergińskiego.
- 32) Michał M. Borwicz: „Pieśń ujdzie cało”. Antologia poezji gett i obozów.
- 33) R. Auerbach: „Treblinka” — reportaż.
- 34) Mgr. N. Blumental: „Słowa Niewinne” tom. I.
- 35) Martyrologia dzieci żydowskich pod okupacją niemiecką. Materiały i dokumenty.

